



STAR THE LAST JEDI WARS

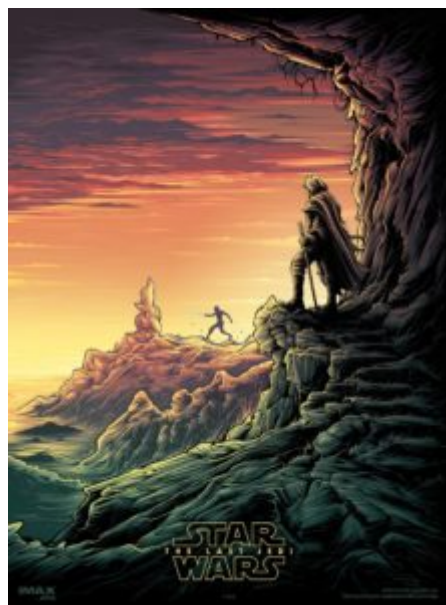
IMAX
at AMC

1 OF 4

©2017 & TM Lucasfilm Ltd.
IMAX® IS A REGISTERED TRADEMARK OF IMAX CORPORATION

Gdzie ci rycerze Jedi, prawdziwi tacy?

Cintryjka



źródło: www.comingsoon.net

Na wstępie, żeby nie było niedomówień – jestem fanką starej trylogii (epizody IV – VI), entuzjastką *Przebudzenia Mocy* (wiem, że beczelnie pasożytowało fabularnie na *Nowej nadziei*, ale mimo to dało mi masę nostalgicznej frajdy, nic na to nie poradzę), osobą zażenowaną *Łotrem 1*, a na nową trylogię (epizody I-III) najchętniej spuściłabym zasłonę milczenia. Zaś na Haydena Christensena asteroidę średniej wielkości, żeby już na pewno nie wstał.

Na *Ostatniego Jedi* poszłam pełna optymizmu, acz bez wygórowanych oczekiwań, bo – powiedzmy sobie szczerze – są to jednak *Gwiezdne Wojny*, czyli baśń o walce dobra ze złem, w trakcie której logika częstokroć musi polec. Było, cóż, średnio. Nawet mimo nisko zawieszanej poprzeczki. Z drugiej strony, mimo wszelkich fabularnych głupot i życzeniowego kombinowania scenarzysty, wciąż lepiej niż w przypadku *Łotra 1* (choć to już poprzeczka leżąca praktycznie na ziemi, jako że poza zakończeniem idącym wbrew konwencji serii ten film w zasadzie nie miał mocnych stron).

Chciałabym napisać bez spoilerów, ale – niestety – za bardzo nie da się w tym trybie pisać ani o wadach, ani o zaletach części VIII. Umówmy się, że postaram się ograniczyć zdradzanie treści do niezbędnego minimum, ale jeśli jeszcze nie widzieliście filmu, a macie taki zamiar, na waszym miejscu darowałabym sobie dalszą lekturę. Zaczniemy od zalet, szybciej pójdzie. Po pierwsze, próbowano zrobić coś sensownego z Kylo Renem (świetny Adam Driver, który skalę swojego talentu pokazał już w *Dziewczynach* i bardzo się cieszę, że trafiła mu się taka finansowa gratka jak rola w GW, bo będzie mógł pograć sobie w ambitniejszych rzeczach bez troski o jutro). Przy czym, niestety, kluczowa część tego zdania to próbowano. W efektownej symbolicznej scenie upokorzony przez pryncypała Kylo niszczy maskę, która miała go upodobnić do wielkiego dziada Vadera. Za gestem tym idzie zmiana logiki postępowania bohatera – postanawia on bowiem pozostawić za sobą całą przeszłość i budować nowy, wspaniały świat rączka w rączkę z Rey, swoim odpowiednikiem po Jasnej Stronie Mocy. Rey, która naiwnie wierzyła, że w Chwili Próby Ben Solo opowie się po stronie dobra, wyciągniętej ręki nie przyjmuje, woli trwać w okowach starych przesądów. By jednak oferta mogła paść, a nowa ideologia Kylo zostać przedstawiona, należy usunąć taki drobiazg jak wszechpotężny przywódca Najwyższego Porządku – Snoke. Przebiegły i niemożliwy do pokonania, manipulujący dowolnie umysłami podwładnych, planujący 24 ruchy do przodu Geniusz Zła schodzi ze sceny...

przebity własnoręcznie skonfiskowanym mieczem i złapany na najprostszy w świecie zwód niczym trzylatek. Bardzo prawdopodobne, bardzo logiczne. Nawet jak na standardy serii.

I taki garnek dziegciu przypada na niemalże każdą półkwaterekę miodu w *Ostatnim Jedim*. Co rzekłszy, przejdźmy do kolejnej zalety – po drugie, próbowano zrobić coś sensownego z Lukeiem Skywalkerem. Uczciwie przyznam, że było to dosyć trudne zadanie, gdyż rola tej postaci raczej się wyczerpała, ale trzeba docenić starania. Mamy więc wąpiącą ikonę dawniej potężnego Zakonu Jedi. Pogromcę Imperium, który musiał patrzeć na nowy, jeszcze gorszy wrzód, rosnący na ciele Galaktyki, a co gorsza, przyczynił się do śmierci swoich uczniów i przejścia najzdolniejszego spośród nich – własnego siostrzeńca – na Ciemną Stronę. Wobec takiego bilansu raczej nie jest zaskoczeniem, że kiedy Rey odnajduje Luke’a na galaktycznym zadupiu, ten nie pała entuzjazmem na wieść, że po raz kolejny ciężar ratowania świata spoczywa na jego nieco już przygiętych wiekiem barkach. Rey łatwo się nie zniechęca, ale ostatecznie musi uznać swoją porażkę i odlecieć. I to by w sumie był najlepszy finał tego wątku, ale epicka konieczność wymaga, by Mistrz i Uczeń zmierzili się ze sobą. A skoro Luke nie znajduje motywacji do działania w swoim wnętrzu, które zaścienia gorzkie popioły dawnej wiary w Jasną Stronę, to daje mu ją zniecałkująca materializująca się z Mocy Yoda. Tak oto Skywalker do swoich licznych przydomków może dodać tytuł Henryka Kwinty Galaktyki¹, gdyż dostaje się do ostatniego schronienia rebeliantów, do którego prowadzi tylko jedno wejście, w dodatku zabarykadowane. Tak więc próbowano wyjść poza szablon, jednak Moc Schematu jest tak silna, że ostatecznie zwyciężyła, a szkoda. Bo konfrontacja była naprawdę komiczna.

Zaleta trzecia to wyśmianie wątku idealistycznego buntownika na przykładzie Poe Damerona, który, nie mając pełnego oglądu sytuacji, postanawia się nie przejmować brakiem danych i uczynić, co sam uważa za słuszne, a w efekcie wychodzi na idiotę. Co więcej, niemal udaremnia plan ratunkowy i prawie unicestwia resztki rebeliantów. I tu w zasadzie nie ma się do czego przyczepić – poza tym, że już za swoją wcześniejszą niesubordynację Poe powinien utracić autorytet w oczach pozostałych rebeliantów i raczej nikt by za takim szczeniakiem nie poszedł, ale – zważywszy na rozmiary innych logicznych dziur w intrydze – nie ma co dzielić włosa na czworo akurat nad takim drobiazgiem. Jest jeszcze wątek hakera mającego ocalić rebeliantów, w którym na idiotów wychodzą z kolei Finn oraz jego nowa towarzyszkafanka Rose. Błyszczą za to rzezimieszek DJ, grany przez Benicio del Toro. Taki Han Solo, tylko bardziej konsekwentny (choć nieco mniej atrakcyjny, ale nie można mieć wszystkiego). Młodzież daje popis kompletnej nieznajomości konwencji narracyjnych, gdyż – po fiasku misji, mającej na celu zwerbowanie Hakera z Kwiatkiem w Klapie – nie zapala jej się czerwona lampka, gdy kamratem z aresztanckiej celi dogodnie okazuje się osoba dysponująca odpowiednim pakietem kompetencji, o twarzy podejrzananej nawet na pierwszy rzut krótkowzrocznego oka.

I tutaj zalety nam się kończą, niestety. Z wad niewymienionych, a dla serii tradycyjnych, przoduje głupota Ciemnej Strony. Po co rozwalać wielki statek, a później transportowce, skoro można zrobić odwrotnie i przedłużyć fabułę? Czemu nie rozwalić najpierw wszystkich nędznych technicznie jednostek rebeliantów, a następnie jedynych drzwi do bazy (poza bo *Kylo tak chciał?*). Dlaczego Wszechmocny Wódz okazuje się naiwnym łosiem? Oczywiście, odpowiedzi na wszystkie te pytania brzmią – bo inaczej film by się posypał, a wszyscy pozytywni bohaterowie zginęli. I bez tego niektórzy z nich giną niepotrzebnie (zaś postać zmarłej Carrie Fisher uśmiercona nie zostaje...). A przecież pozostali muszą zagrać w jeszcze co najmniej jednej części. Słowem, momenty były, ale jednak żenujące rozwiązania niweczą większość przyjemności z seansu. W dziesięciostopniowej skali – z uwzględnieniem bonusu za nostalgię – co najwyżej słabe 6.

Agnieszka Chojnowska